

Jacek Koronacki

## Wybory prezydenckie w USA

Na wybór ich nowego prezydenta muszą Amerykanie czekać do 8 listopada 2016 roku, ale już teraz zaczęły się w amerykańskich mediach dyskusje, kto zgłosi swoją kandydaturę, kto może mieć szansę na wybór, najpierw jako kandydat lub kandydatka danej partii i potem, który z partyjnych nominatów ostatecznie zwycięży. Nie sposób wśród tych, o których już dziś się mówi, znaleźć kogoś większego formatu, kogo chciałoby się widzieć w roli przywódcy najpotężniejszego państwa na Ziemi. To zresztą raczej reguła niż wyjątek, od wielu dziesiątków lat albo i dłużej.

Dlaczego? By przynajmniej częściowo odpowiedzieć na to pytanie, spójrzmy na historię amerykańskiej prezydentury. Ojcowie Założyciele w ogromnej większości odrzucali myśl o utworzeniu konstytucyjnej monarchii. Spierali się o zakres władzy federalnej – czy Ameryka ma być konfederacją stanów; czy raczej federacją państw suwerennych ale z rządem federalnym z władczymi choć ograniczonymi i jasno wyartykułowanymi kompetencjami wobec władz stanów; czy wreszcie państwem o silnej i scentralizowanej władzy. Nie było tylko sporu o jedno – ustrój Stanów Zjednoczonych miał być republikański, jakkolwiek w tym przypadku jasne były tylko to, że Stany Zjednoczone nie mają mieć ani monarchy, ani demokracji. Co miał oznaczać republikanizm, jasne już nie było. Ojcowie Założyciele byli często doskonale wykształceni, znali pisma mistrzów starożytnych, Locke’a, wicehrabiego Bollingbroke’a, Hume’a, sir Williama Blackstone’a, Monteskiusza, i z tych źródeł czerpali debatując nad właściwym dla Ameryki kształtem republiki.<sup>1</sup> Doskonale rozumieli, jak trudno jest zapewnić niewielkiej republice trwałą pomyślność, a co dopiero jak ukształtować dobrą i stabilną republikańską władzę na obszarze tak wielkim jak obszar ówczesnej Ameryki. I dopracowali się swojej własnej wersji systemu równowagi i wzajemnej kontroli władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej (*checks and balances*).

Kongres Stanów Zjednoczonych jest na mocy Konstytucji dwuizbowy, z Izbą Reprezentantów i Senatem. Członkowie Izby Reprezentantów są wybierani na dwuletnią kadencję przez naród, niezależnie w każdym stanie. Kto ma prawo głosu, orzeka legislatura stanowa. Najczęściej, w pierwszych latach po przyjęciu przez wszystkie stany Konstytucji, prawo to przysługiwało białym mężczyznom, którzy mogli pochwalić się posiadaniem jakiejś własności, o różnej w różnych Stanach wartości. W stanie New Jersey prawo głosu przysługiwało także kobietom – posiadaczkom. Równoważny byciu posiadaczem mógł być fakt płacenia podatku od dochodu. Według szacunków obowiązek bycia posiadaczem wykluczał około połowę białych. Obowiązek ten zaczął być znoszony w kolejnych stanach już od roku 1792 i trwał do roku 1856. Później znoszone były kolejne ograniczenia, np. w roku 1920 prawo głosu uzyskały kobiety. Powszechne prawo głosu zapanowało w roku 1965,

---

<sup>1</sup> *Nota bene*, gdy w swoich przemówieniach cytowali takich autorów, unikali przywoływania nazwiska cytowanego autorytetu, by nie popełnić nietaktu wobec słuchaczy.

gdy m.in. przyznano prawo głosu mniejszościom językowym (osobom nie umiejącym czytać i pisać po angielsku).

Senatorowie byli do roku 1913 wybierani przez legislatury stanowe, a od owego roku są wybierani przez naród. Ich kadencja trwa 6 lat. Intencją Ojców Założycieli było wprowadzenie do systemu rządów elementu arystokratycznego. Ale w roku 1913 zwyciężył duch demokracji.

Władza wykonawcza należy do Prezydenta Stanów Zjednoczonych, wybieranego na 4 lata, jak chciała Konstytucja przez elektorów ze wszystkich stanów. Każdy stan ma tylu elektorów, ilu ma przedstawicieli w Kongresie, czyli w Izbie Reprezentantów i Senacie (ponadto 3 elektorów jest wybieranych w Dystrykcie Kolumbii, czyli w Waszyngtonie). Konstytucja orzeka, iż decyzja o sposobie wyboru elektorów należy do legislatur stanowych. Już w przypadku pierwszych wyborów prezydenckich na przełomie lat 1788/1789 aż 6 z 13 stanów wybrało głosowanie powszechne (oczywiście z zachowaniem prawa głosowania tylko przez posiadaczy). Z biegiem czasu liczba stanów wybierających głosowanie powszechne rosła i po wojnie secesyjnej obejmowała już wszystkie stany. Odtąd wybór elektorów należał w każdym stanie do wszystkich obywateli danego stanu.

W uproszczeniu i pominąwszy stany Maine oraz Nebraska, inną niezwykle ważną cechą wyborów elektorów jest dziś to, że głosowanie powszechne, odbywające się z mocy prawa na początku listopada, jest po prostu głosowaniem na prezydenta. Kandydat na prezydenta, który wygrywa w danym stanie, zdobywa wszystkie głosy elektorskie przynależne temu stanowi. Procedura, która temu służy i która szybko ogarnęła praktycznie wszystkie stany, znana jako „zwycięzca bierze wszystko”, jest następująca. Obywatele głosują na komplet stanowych elektorów, którzy przyrzekli głosować na danego kandydata na prezydenta i zostali elektorami najczęściej na mocy nominacji przez komitet partyjny tego kandydata. Następnie elektorzy zbierają się w stolicy stanu w grudniu, by oddać swoje głosy, które są przesyłane do Kongresu. Tam zostają formalnie zliczone na specjalnym posiedzeniu Kongresu w styczniu, chociaż wynik tych wyborów jest znany od wspomnianego listopada. Pewien niuans polega co prawda na tym, że elektorzy mogą zmienić w ostatniej chwili swoje zdanie i zagłosować w grudniu na innego kandydata niż byli przyrzekli, ale zdarzało się to w historii niezwykle rzadko, a dziś jest karalne w 24 stanach.

Opisany sposób wyboru Prezydenta USA nie ma nic wspólnego z hierarchicznym sposobem pomyślanym przez Ojców Założycieli, którzy chcieli zachować jakieś elementy zdrowej społecznej hierarchii. By tak rzec, chcieli mieć system, w którym wybór zależałby od nielicznych – znanych z obywatelskich cnót i mądrości członków „naturalnej arystokracji” – którzy wybieraliby tego spośród „naturalnych arystokratów”, którego uznają za najlepszego. Tymczasem, razem z wprowadzeniem wyborów powszechnych na senatorów zniknął ostatni element ustroju republikańskiego i Stany Zjednoczone stały się państwem demokratycznym.

Sędziowie Sądu Najwyższego i niższych sądów federalnych są nominowani przez prezydenta po zatwierdzeniu prezydenckiego kandydata przez Senat. Są nieusuwalni, chyba że w drodze oskarżenia przed Kongresem. Ostatnie dwa zdania stanowią przykłady wzajemnej wewnętrznej kontroli trzech gałęzi władzy. Mądry podział kompetencji ustawodawczych,

wykonawczych i sędowniczych ma przydawać całości równowagi i trwałości, którą może zapewnić jedynie wzajemna kontrola. Sposobów wzajemnej kontroli jest wiele – np.: prezydent może zawetować ustawę Kongresu, ale też weto może być przez Kongres obalone; Sąd Najwyższy ma obowiązek kontrolowania zgodności ustaw z Konstytucją; traktaty podpisane przez prezydenta wymagają ratyfikacji Kongresu; prezydent jest naczelnym dowódcą, ale to Kongres powołuje i wyposaża armię.

Opracowanie przez Ojców Założycieli Konstytucji i jej przyjęcie przez stany – a pokazują to aż nadto jasno debaty w czasie Konwencji Konstytucyjnej i potem obejmującej wszystkie stany debaty ratyfikacyjnej, pokazuje to dowodnie *Federalista* i pisma anty-federalistów – były nieomal cudem. Patrioci, którzy ogłosili niezależność Stanów Zjednoczonych od korony brytyjskiej w roku 1776 i którzy w dobie Konwencji stali się federalistami, wiedzieli, że chcą władzy, która będzie stać na straży życia, wolności i własności obywateli. Nieomal wszyscy uznawali, że najlepiej można taki cel osiągnąć przyjmując ustrój republikański. Jaka treść miała się kryć za hasłem republikanizmu jasne już nie było. Biegli w historii starożytnej Grecji i Rzymu, Anglii do czasów im współczesnych, nie znajdowali ustroju, który chcieliby powielić. Szukając właściwej definicji dla pojęcia republiki, zdesperowany Madison pisał w *Federaliście*, że za republiki uznawano Holandię, Wenecję i Polskę, ale za każdym razem nietrafnie, jakkolwiek z różnych przyczyn. Zgodni byli wszyscy tylko co do jednego – że wspomniany cel należy osiągnąć wprowadzając ustrój, w którym wielu, choć oczywiście dalece nie wszyscy, będą wybierać niewielu, najlepszych i najmądrzejszych z nich, by ci najlepsi i najmądrzejsi mogli rządzić dla dobra ogółu. Pozostawało pytanie, jak tę ideę ucieleśnić w instytucjach politycznych.

Co więcej, chociaż w stanach panował sprzeciw wobec monarchii, niejeden nie widział lepszego rozwiązania niż właśnie monarchia, tyle że w przeciwieństwie do absolutnej, ograniczona. Wiele lat po śmierci delegata na Konwencję Nathaniela Gorhama, James Monroe zdradził, że w roku 1786 Gorham, wówczas prezydent Kongresu Kontynentalnego, wysłał do Henryka Pruskiego pytanie, czy zgodziłby się objąć władzę monarszą nad Ameryką, gdyby wolne instytucje amerykańskie nie zdołały zapewnić krajowi niepodległości. W czasie Konwencji, Nicholas Gilman, delegat z New Hampshire, pisał do brata, że wielu delegatów jest za monarchią. W zapiskach George'a Masona można znaleźć wzmiankę, że w prywatnej rozmowie gubernator Morris stwierdzał, iż Ameryka będzie musiała być monarchią wcześniej lub później, przy czym im wcześniej, tym lepiej. John Adams mówił nieraz o republice monarchistycznej lub monarchii republikańskiej. Inny delegat twierdził, że widział listę ponad 20 monarchistów wśród delegatów na Konwencję. I nawet James Madison, zniechęcony nadużywaniem demokratycznych procedur przez wiele stanów – sprzecznym z ładem republikańskim – uznawał, że do zapobieżenia nadmiarowi demokracji przydałaby się silna centralna władza wykonawcza, a taką może dać tylko monarchia (jeśli odrzucić tyranie).

Najbardziej klarowne stanowisko zajął na Konwencji Alexander Hamilton. Podkreślił swoje umiłowanie wolności i gotowość poniesienia dla jej obrony ofiary z życia, jednocześnie wyrażając poważną wątpliwość, czy republikańska forma rządów jest adekwatna dla tej obrony. Wyraził swój podziw dla brytyjskiej formy rządów i zarazem wątpliwość, czy jakakolwiek inna forma rządów będzie dla Ameryki dobra. Dodał wszelako, że będąc świadomym sprzeciwu ogółu Amerykanów wobec monarchii jest za budową ustroju na tyle

stabilnego i trwałego, na ile jest to możliwe w ramach ładu republikańskiego. Proponował, by kadencja prezydenta i członków jednej z izb Kongresu była dożywotnia, zaś kadencja członków drugiej izby była trzyletnia. Delegaci nie przyjęli żadnej z tych propozycji.

Zwyciężyło stanowisko większości i przede wszystkim Waszyngtona, który od lat opowiadał się za republiką bardzo mocno. Nie zmienia to faktu, że już na początku roku 1787 Waszyngton przyznawał, że kiedyś wybór monarchii może dla Ameryki okazać się koniecznością. Ale w dobie Konwencji wybór taki zburzyłby według niego pokój w kraju do samych fundamentów.

Wybitni Ojcowie Założyciele byli świadomi niebezpieczeństw, jakie płyną z istnienia trwałych choć nieformalnych frakcji, czy po prostu zorganizowanych partii politycznych. Wiedzieli z doświadczenia amerykańskiego i historii, że – jak pisał Madison – celem frakcji jest działanie dla dobra jej własnego interesu, własnej ideologii, czy własnej wspólnoty bez oglądania się na dobro ogółu. Szukali środków, możliwych do zaimplementowania w ramach republikańskiego ładu Ameryki, które przeciwdziałałyby powstawaniu trwałych frakcji politycznych, jakkolwiek jednocześnie dobrze rozumieli diagnozy Hume'a piszącego o nieuchronności i przyczynach ich tworzenia się. Ich wysiłki okazały się daremne.

Już w roku 1791 sam Madison rozpoczął wraz z Jeffersonem, wówczas sekretarzem stanu w rządzie Waszyngtona, organizowanie „Partii Republikańskiej”, jakkolwiek uważał, że partia nie będzie długo istnieć i nawet przez pewien czas sprzeciwiał się opinii, iż stworzył polityczną partię. Chciał tylko, by jego partia – tak jak wcześniej nieformalna frakcja „antyadministracyjna”, której przewodził – skutecznie przeciwstawiła się polityce finansowej Hamiltona, w owym czasie sekretarza skarbu w rządzie Waszyngtona. Zakładał, że po spełnieniu zadania partia się rozwiąże. Zaś o potrzebie zorganizowania partii został według znakomitego historyka Forresta McDonalda przekonany przez Jeffersona, który był pewny, że Hamiltona pomysł utworzenia Pierwszego Banku Stanów Zjednoczonych zmierza w istocie do skorumpowania Ameryki, jej osłabienia i przemienienia w zależną od Wielkiej Brytanii monarchię.<sup>2</sup>

„Partia Republikańska”, później nazwana Partią Demokratyczno-Republikańską, okazała się bytem stosunkowo trwałym i kontrolowała Kongres oraz miała swoich prezydentów przez pierwsze ćwierćwiecze XIX wieku.

Niektórzy historycy uważają, że w momencie tworzenia partii przez Jeffersona i Madisona istniała już Partia Federalistyczna pod przywództwem Hamiltona, chociaż ten zupełnie nie widział w działaniach swoich i swoich stronników niczego innego niż służba krajowi jako

---

<sup>2</sup> Pogląd Jeffersona był fałszywy, a miał się wziąć z niezrozumienia przez niego przyczyn Hamiltona pochwały brytyjskiego rządu razem z jego defektami, w tym elementami przekupstwa. Wszystko działo się przy okazji obiadu u Waszyngtona i rozmowy, w której John Adams wyraził pogląd, iż brytyjski ład polityczny byłby najlepiej pomyślanym na świecie, gdyby oczyścić go z korupcji oraz Izba Gmin miała bardziej demokratyczny skład. Odpowiedź Hamiltona była echem realistycznych analiz Hume'a – jego diagnozy o nieuchronności korupcji i przeto potrzebie posiadania ładu politycznego, w który korupcja jest wbudowana, ale jednocześnie rozsądnie ograniczona i tak skanalizowana, by nie psuć całości organizmu państwowego.

całości. Ich działania nie miały zresztą charakteru działalności partyjnej, nie byli związani żadnym układem wewnątrzgrupowej lojalności. Tak samo widział swoje i Hamiltona działanie Waszyngton – pracowali jako władza wykonawcza dla kraju nie kierując się interesem jakiegokolwiek grupy społecznej. Jest inną sprawą, iż w latach 90-tych XVIII wieku istnienie Partii Federalistycznej stało się niezaprzeczalnym faktem.

I jedno jest pewne – już choćby różne interesy stanów czyniły, że Ameryka była skazana na system partyjny. Tak właśnie było od początku – wizja Hamiltona odpowiadała jednym stanom, wizja Jeffersona, a potem Jeffersona i Madisona, innym. W latach 20-tych XIX wieku utrwalił się system dwupartyjny, z tym że co parę dziesiątków lat jedne partie wiodły, a inne powstawały. W tym samym okresie, a więc niesłychanie szybko, wybory prezydenta państwa, które miało zostać najpotężniejszym mocarstwem świata, stały się cyniczną manipulacją na wielką skalę.

John Quincy Adams był wybitnym dyplomatą i dobrym prezydentem, za którego kadencji w latach 1825-1829 Ameryka przeżywała okres dobrobytu. Ale gdy stawał do wyborów prezydenckich przeciwko Andrew Jacksonowi w roku 1828, jego zwolennicy wybrali kampanię negatywną, a raczej obrzydliwie negatywną. Przedstawiali Jacksona jako nieokrzesanego grubianina, mordercę i cudzołożnika. Szkalowali jego żonę. Pomówili jego matkę o bycie konkubiną Murzyna i jego o bycie mulackim bękartem. Zwolennicy Jacksona odplacili się pięknym za nadobne. W kampaniach wyborczych nie mówiło się nic o programach obu kandydatów. Do ich prowadzenia partie przyciągnęły tysiące wolontariuszy obietnicami patronaży, czyli albo obdarowania wolontariuszy po zwycięskich wyborach stanowiskami w administracji, albo podpisania z nimi intratnych kontraktów. Zwycięzca, Andrew Jackson, miał potem niemały kłopot z wywiązaniem się z poczynionych obietnic, ale starał się bardzo.<sup>3</sup>

Z biegiem lat kampanie nabierały coraz większego rozmachu. W pewnej mierze winna temu była partia efemeryda o nazwie Partia Antymasońska, która w roku 1831 zorganizowała pierwszą krajową konwencję partyjną. Pomysł podchwyciły główne partie, Demokraci i Wigowie, twórczo go rozwinięszy – delegaci na konwencję krajową byli wybierani na konwencjach stanowych, delegaci na stanowe na konwencjach hrabstw i tak dalej. Partie stały się organizacjami o stałej i rozbudowanej strukturze z mnogością działaczy, tyleż oddanych partii co na pewno nierzadko skorych do skorzystania z dobrodziejstw patronaży na różnych szczeblach administracji.

---

<sup>3</sup> Od końca XX w. prezydent mianuje osobiście ok. 3 000 wysokich urzędników federalnych w departamentach federalnych, odpowiadających ministerstwom w systemie parlamentarnym lub parlamentarno-prezydenckim, w kilkudziesięciu tzw. niezależnych komisjach federalnych (takich jak CIA, Federalna Komisja Handlu, System Rezerwy Federalnej) i w Urzędzie Wykonawczym Prezydenta (*Executive Office of the President*, który ma własne urzędy z ich dyrektorami i w sumie zatrudnia ok. 4 000 pracowników). Ma na to czas między dniem jego wyboru i dniem inauguracji, czyli od 1933 r. zaledwie ok. 10,5 tygodnia. Zwyczaj wymieniania dużej części urzędników nominowanych przez poprzedniego prezydenta na nowych stał się prawie normą w połowie XIX wieku. Zachary Taylor wymienił 2/3 nominowanych urzędników, Abraham Lincoln wymienił 1 457 na 1 639 nominowanych przez niego.

Działacze, a od 1896 roku sami kandydaci na prezydenta, objeżdżali kraj dając setki przemówień. W kampaniach było coraz więcej spektaklu i coraz mniej treści. Partyjni specjaliści celowali w stwarzaniu pozorów merytorycznego i poważnego charakteru głoszonych niby-treści. Wymyślano „zasadnicze kwestie”, które miały kandydata na prezydenta odróżnić od kontrkandydata i przyciągnąć do niego wyborców. Najlepiej, gdy były to kwestie etycznie obojętne, niekoniecznie łatwe do merytorycznego rozstrzygnięcia przez przeciętnego wyborcę, ale odpowiednio przedstawione zdolne wzbudzić wielkie emocje, takie jakie często towarzyszą dyskusjom dotyczącym podstawowych problemów moralnych. W pierwszej połowie XIX wieku były to na przykład kwestie ceł protekcyjnych lub odnowy zgody na funkcjonowanie banku krajowego.

Ważną cechą kampanii wyborczych jest także właściwe rozróżnienie przez strategów tych grup społecznych, które z wielkim prawdopodobieństwem zagłosują na ich kandydata, tych, które prawie na pewno są stracone, i tych, które są niezdecydowane. Oczywiście kampania musi szczególną wagę przywiązać do skutecznego przyciągnięcia owych niezdecydowanych jednocześnie pamiętając, by nie zrazić do siebie tych, którzy tradycyjnie są stronnikami danej partii. Na przykład Partia Demokratyczna nie może dziś narazić się od dawna przez nią przekupywanym mniejszościom etnicznym i imigrantom.<sup>4</sup>

Amerykańska maszyna polityczna została zbudowana szybko i do dziś działa bez zarzutu. Służy manipulowaniu tymi, którzy są skłonni poddać się manipulacji, i marginalizacji reszty obywateli. Oczywiście nowinki techniczne XX wieku zmieniły techniki manipulacji, ale nie ich istotę. Prezydentami zostawali ci, którzy lepiej wypadali w cyrku spotkań z wyborcami, w spotkaniach z prasą, później w radiu i wreszcie telewizji<sup>5</sup>. I którzy najlepiej potrafili znieść trudy grania jednej z głównych ról w tym cyrku trwającej przez wiele miesięcy kampanii wyborczej. Nie znaczy to, że Ameryka nie miała dobrych albo i wybitnych prezydentów, ale prawdą jest, że sposób ich wyboru jest chory, ponieważ – jak to w demokracji – zasada się na manipulacji wyborcami, których duża część nie ma kompetencji potrzebnych do współdecydowania o tym kto ma być prezydentem, przy czym treści suflowane w trakcie kampanii są obliczone wyłącznie na zdobycie poparcia konkretnych grup wyborców.

Ameryka potrzebuje fundamentalnej zmiany, której na pewno nie przyniosą najbliższe wybory prezydenckie. Społeczeństwo jest w głębokim kryzysie – poszerza się obszar biedy i degeneracji moralnej wśród białej populacji, warstwa najwyższa utraciła zdolność szerzenia wartości, klasa średnia odgrywa rolę biernego proletariatu i jeśli bierze udział w wyborach, to z poczuciem bezradności, powodowana nawykiem lojalności wobec kraju. Jak napisał socjolog Charles Murray w swej książce pt. *Coming Apart: The State of White America, 1960 – 2010*, Ameryka potrzebuje kolejnego Wielkiego Przebudzenia.

---

<sup>4</sup> W 2012 r. biali Amerykanie, którzy stanowili 72% głosujących, oddali 39% głosów na Baracka Obamę i 59% na Mitta Romneya; czarnoskórzy Amerykanie (13% głosujących) oddali na Obamę 93% i na Romneya 6%; Latynosi (10%) – 71% i 27%; Azjaci (3%) – 73% i 26%; inni (2%) – 58% i 38%. Ogółem, w głosowaniu powszechnym Obama zdobył 51% głosów, natomiast Romney 47%.

<sup>5</sup> Telewizja była oczywiście novum o znaczeniu największym – obraz stwarza niesłychane możliwości manipulacji wyborcą.

Spółczenstwu zostały narzucone paradygmaty i język liberalizmu – co wykracza poza nie, jest uznawane za wyraz braku tolerancji, nieracjonalną mowę nienawiści. Odpowiada to klasie rządzącej, chociaż w dłuższej perspektywie jest samobójcze. Najlepiej ów triumf i jednocześnie klęskę liberalizmu opisał James Kalb w kwartalniku „Modern Age” z lata 2013 (t. 55, nr 3; por. moje streszczenie w „Arcanach” 117 (3/2014)). Za sprawą owego triumfu podmywane są chrześcijańskie fundamenty Ameryki, to co wynika z wiary zostaje przez wierzącego uznane za nieobowiązujące w życiu społecznym. Pewien udział w szerzeniu takiego moralnego zagubienia mają lewicowo zorientowani duchowni, np. niektórzy katolicy biskupi „powadzeni” przez tych samych inżynierów społecznych, u których lekcje brał Barack Obama i którzy byli bliscy państwu Clintonom.

W takim liberalnym świecie prezydentem mógł zostać Barack Obama, mimo że  $\frac{3}{4}$  społeczeństwa jest przeciw aborcji w drugim trymestrze ciąży, a przyszły prezydent nie tylko nie widział możliwości ograniczenia prawa do zabicia nienarodzonego dziecka w drugim trymestrze ciąży, ale nie wykluczał możliwości aborcji przez częściowe narodziny. Już jako prezydent mógł popierać ustawę zmuszającą pracodawców do współfinansowania zakupu przez pracowników środków antykoncepcyjnych w ramach opłacanej przez pracodawcę części ubezpieczenia zdrowotnego pracownika. Ustawa weszła ostatecznie w życie 1 sierpnia 2012 roku, by w listopadzie tego samego roku Obama został wybrany na drugą kadencję, mimo że była oczywistym i wołającym o pomstę do nieba gwałtem na wolności sumienia pracodawcy. Zresztą Obama i jego administracja stale czynią wysiłki na rzecz dyskryminowania ludzi wierzących.

Prezydenta Obamę i możliwą kandydatkę do prezydentury, Hillary Clinton, nie różni wiele w obszarze polityki społecznej. Różnią się bardzo na polu preferowanej polityki międzynarodowej. Obama wykazuje się politycznym realizmem, podczas gdy Hillary Clinton niezmiennie opowiada się za neokonserwatywnym awanturnictwem. Obama wyciągnął lekcję z Iraku i niedawno temu kompromitacji w Libii. Clinton nie przejęła się tym, że operacja w Libii wyrządziła szkody amerykańskiej siatce szpiegowskiej, pogorszyła sytuację w Syrii i okazała się być na rękę Państwu Islamskiemu. Niewykluczone, że Obama poprze w rezultacie w wyborach nie Hillary Clinton, z którą jest dziś mocno skonfliktowany, lecz wiceprezydenta Joe Bidena, jeśli ten wystartuje. Co prawda chyba nikt nie uważa, by Biden miał szansę na nominację Demokratów.

Republikanie mają potencjalnych kandydatów wielu. Zapewne największe szanse na nominację Republikanów będą mieli kandydaci umiarkowanie konserwatywni w kwestiach społecznych i gospodarczych, a przynajmniej tak przedstawiani, i raczej podobni do Hillary Clinton niż Obamy w kwestiach polityki zagranicznej.

Nas w debatach wyborczych powinny chyba interesować tylko kwestie dotyczące polityki zagranicznej. Na polu polityki społecznej i gospodarczej nic szczególnie dla nas zaskakującego czy groźnego nie zostanie w czasie kampanii zapowiedziane.

*Kwiecień 2015*